

~~Cim.~~ / 3

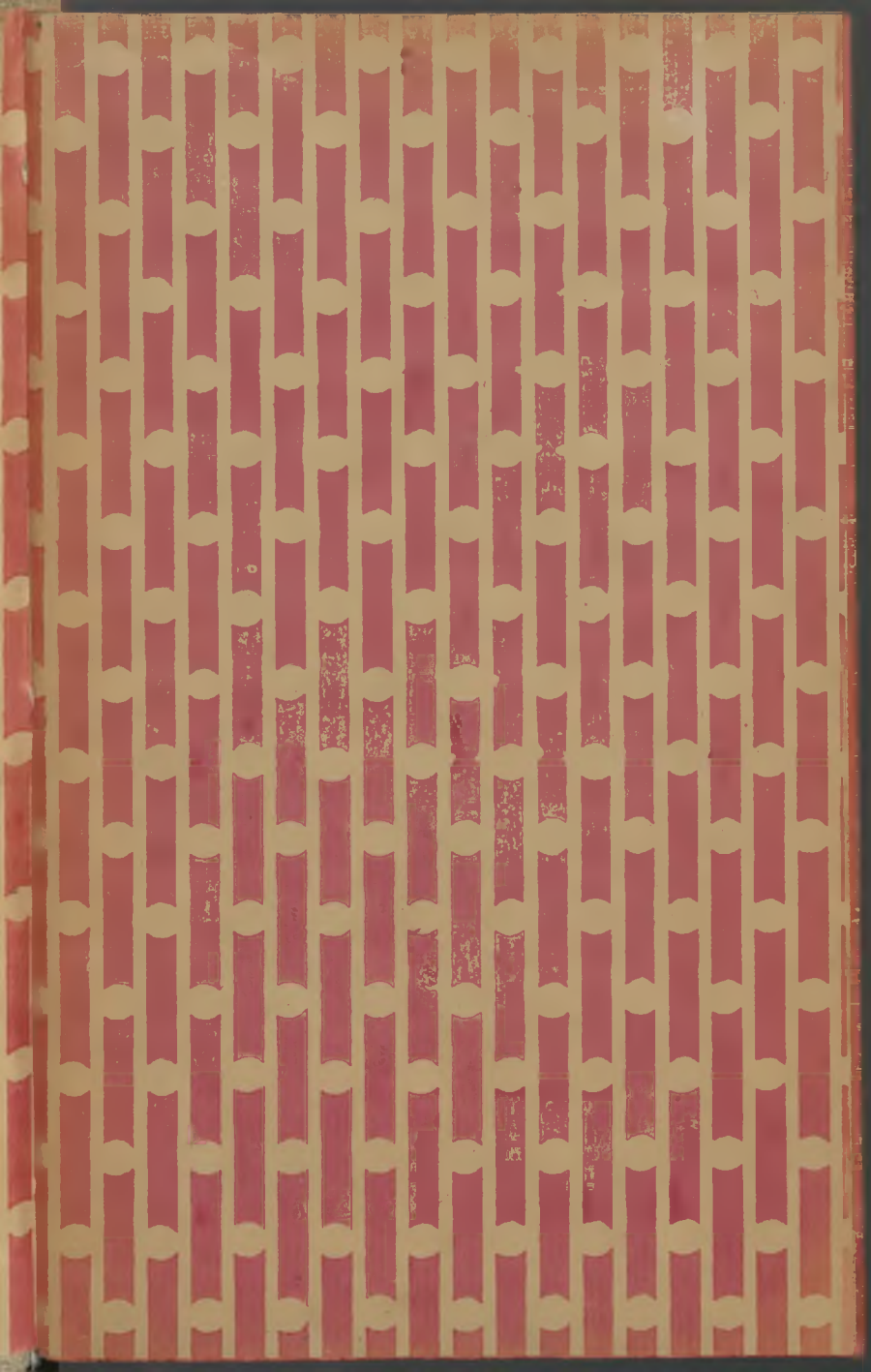
879

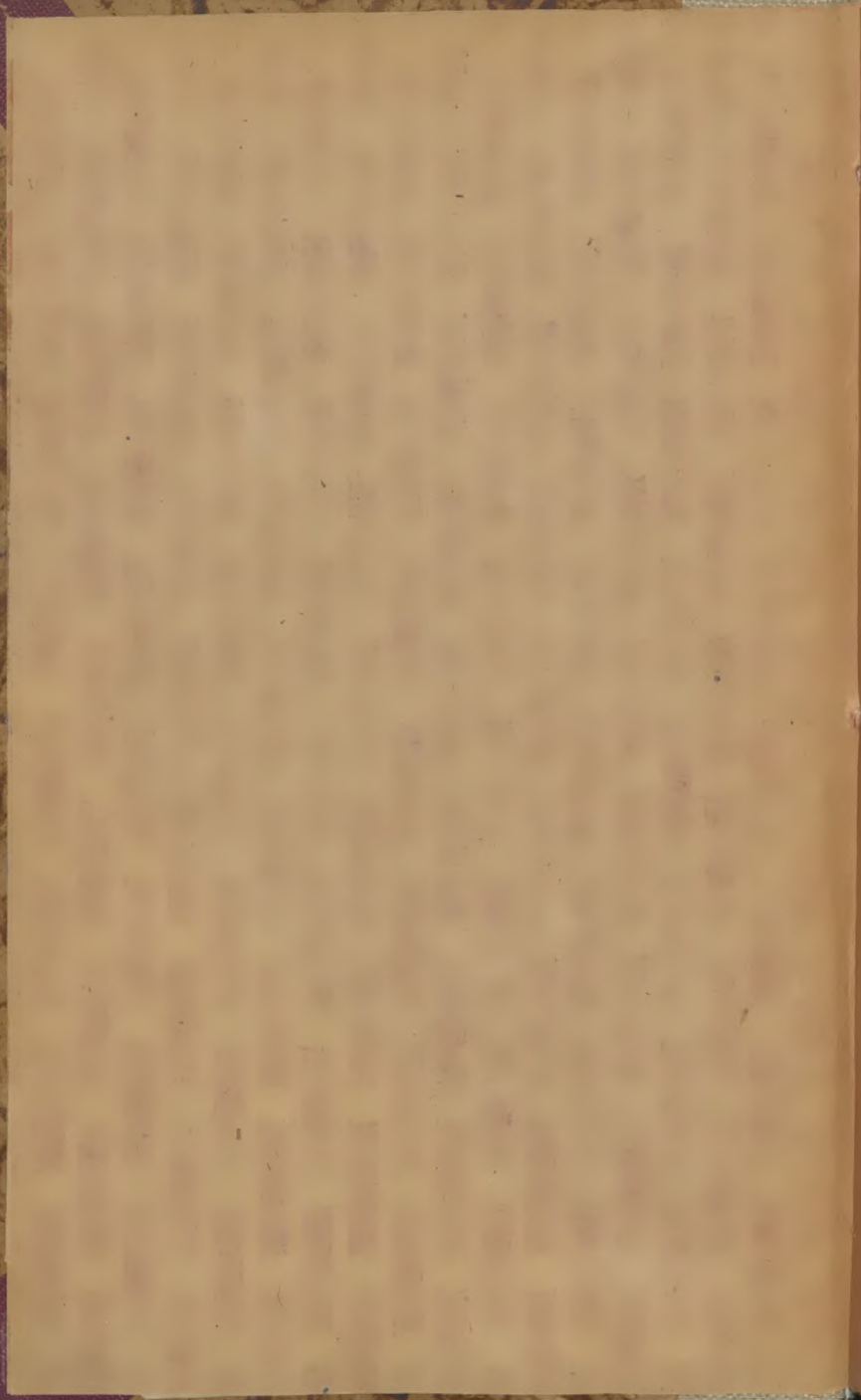
Z DOŚWIADCZEŃ
ARESZTOWANEGO
Warszawa 1906 r.
sygh. 879

013

Q79







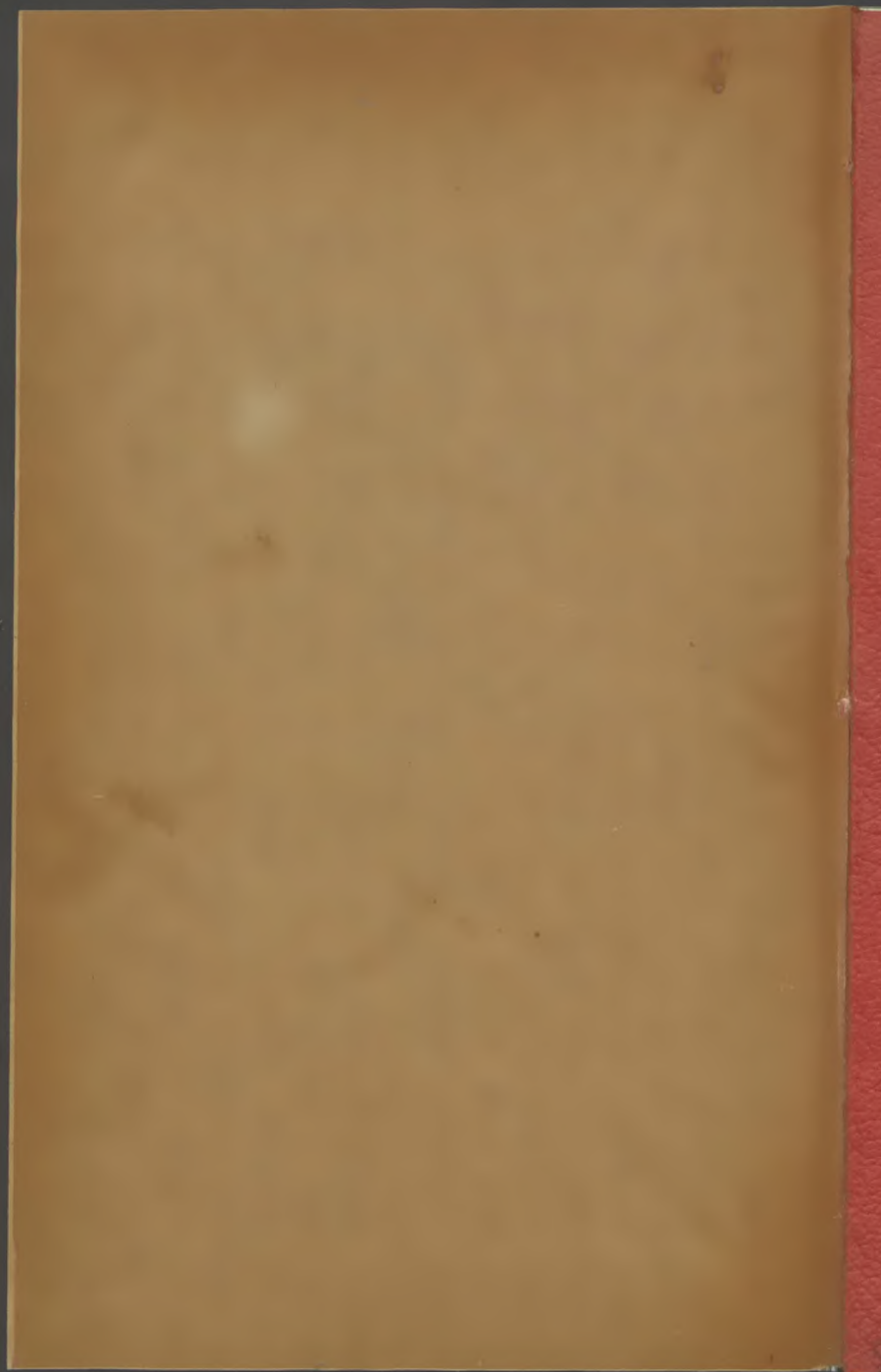
Handwritten signature and scribbles in the top left corner.

Wydawnictwo
Książkowe

Z doświadczeń aresztowanego



Wydawnictwo Książkowe 1975

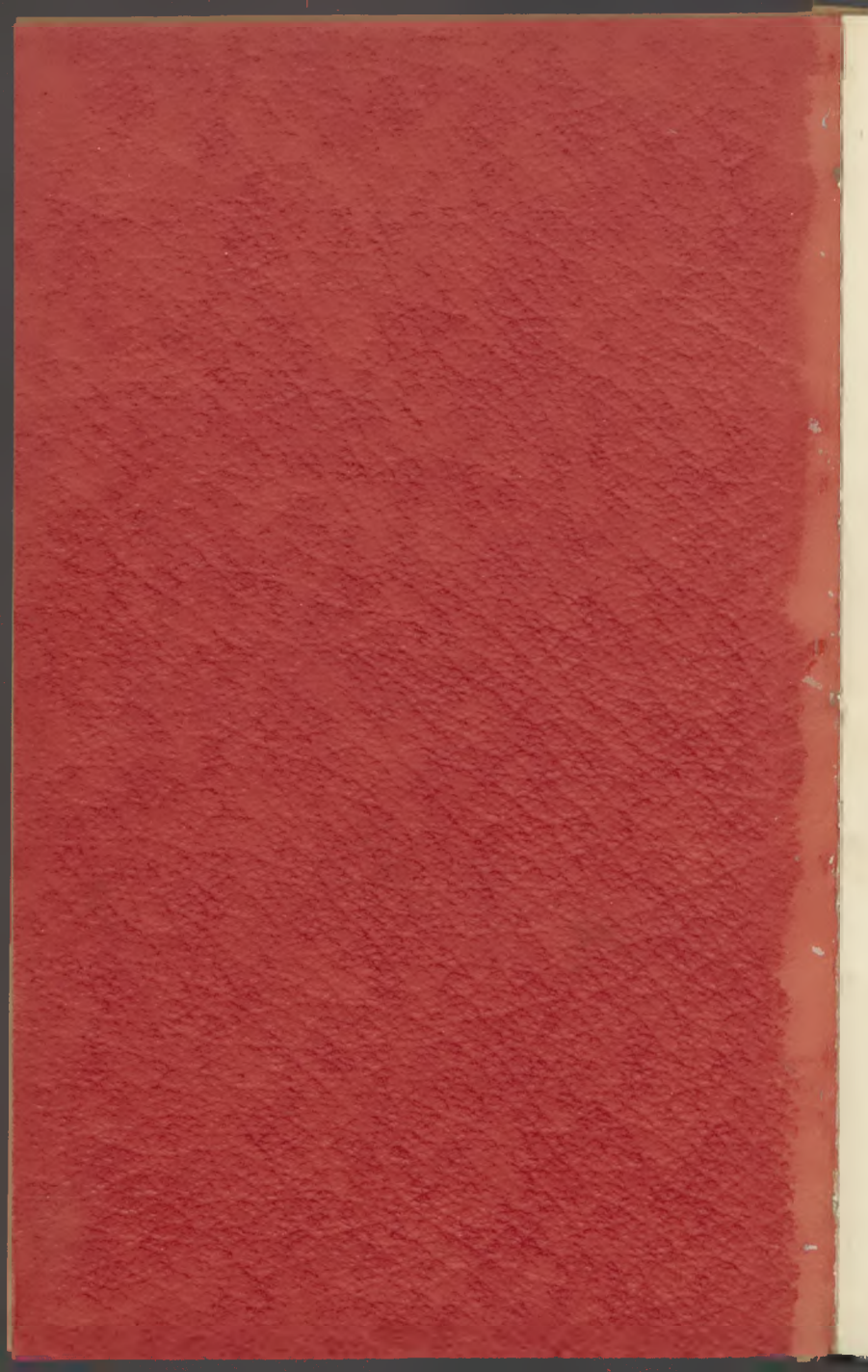


Wojciech
Polska Partya Socjalistyczna.

Z doświadczeń
aresztowanego



 Warszawa 1966 







2403624

Polska Partya Socjalistyczna.

Z doświadczeń aresztowanego



 Warszawa 1906 



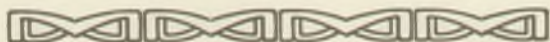
cin. / 3



1263023

N. 176 / 2015

R. Bosinski



I.

Ratusz, marsz do fortów i forty — oto trzy etapy, przez które przechodzi więzień administracyjny w Warszawie w chwili obecnej — (nie licząc cyrkułu na początku i wszelakich możliwych kolei na zakończenie afery).

Ratusz, a właściwie areszt policyjny w ratuszu jest instytucją powszechnie dość znaną. W chwili obecnej* wszakże odznacza się on niezwykłym natłoczeniem więźniów i niezwykłym zapewne brudem.

Brud aresztu policyjnego w ratuszu z niczem nie da się porównać. Podłoga na korytarzu I-go piętra jest przerażająco brudna. Podeszwy przylegają do niej podczas chodzenia. Gdy po raz pierwszy stanie się na podłodze — w dodatku w nocy, po ciemku — ma się przykre wrażenie, że stąpnięto się w jakąś nieczystość. W dzień dopiero przekonać się można, że cała podłoga pokryta jest grubą warstwą lepkiej masy. To samo stosuje się do podłogi w celi Nr 11. W pozostałych celach masy tej niema, ale podłoga na wązkich szlakach, obok nar, zupełnie czarna, a pod narami pokryta jest nie mniej grubą warstwą kurzu i masą starych papierów, gałganów, pudełek i najróżniejszych zabytków po byłych mieszkańcach.

Brud i niechlujstwo są tem przykrzejsze i groźniejsze, że przy obecnem przepełnieniu

aresztu, trzecia część więźniów, a nawet czasami i więcej niż połowa, spać musi na podłodze, przyczem nie wszyscy mogą spać na siennikach, niezmiernie brudnych, bo wciąż po podłodze wycieranych i nogami deptanych.

Na I-em piętrze, które jest głównym rezerwoarem więzionych, jest tylko 6 cel: Nr 6, 7, 8, 9, 10 i 11. Numery te przepuszczają przez siebie całą niemal falę ofiar obecnej polityki rządu. Nie są one jednakowe. Typowymi nazwać można: 6, 7, 9 i 10. Są to pokoje o dwóch małych oknach każdy; na środku każdego z nich stoi urządzenie do spania: nary. Nary jest to wyższy nieco od zwykłego taboretu pomost z desek, na dziedzińcu nogach z belek. W kierunku od drzwi wchodowych do ściany z oknami wznosi się na nim rusztowanie z dwóch belek stojących — z boków pomostu — i trzeciej poprzecznej, na której wiszą paltta i zawiniątka więźniów, co wszystko razem tworzy rodzaj ściany. Na wierzchu poprzecznej belki leżą czapki, kapelusze, pudełka, chleb i wszelkie inne przedmioty.

W ten sposób zatem nary są podzielone na 2 połowy. Każda z tych połów jest do spania dla 10 więźniów, cały więc numer powinien mieścić 20. Tymczasem obecnie w każdej z tych cel siedzi przeszło 40, a w numerach 9 i 10, cokolwiek większych — do 50 w każdym. Na narach nie mieści się więcej niż 24; gdy śpi po 12 na każdej połowie, głowami do palt, to nie można leżeć na wznak, lecz wszyscy, lub prawie wszyscy, muszą leżeć na bokach i szczelnie do siebie przylegać. Przewracanie się z boku na bok jednego wy-

maga poruszenia się kilku obok leżących. Skurczyć się, podciągnąć nogi, zupełnie nie można. Gdy dwóch sąsiadów leży na bokach różnych, twarzami do siebie, wówczas wzajemne oddychanie sobie w twarz daje się odczuwać dotkliwie.

Reszta, jakichś 18—30 ludzi, musi się mieścić na powierzchni niezmiernie małej, przy czem każde dwa sienniki przypadają na 5—6 śpiących, (jeden siennik leży pod głowami, drugi pod nogami).

Siódma z cel omówionych przeznaczona jest wyłącznie dla kryminalnych, przyprowadzonych z miast i przysłanych do t. zw. transportu. Pozostałe zajmują »administracyjni« i polityczni, pozostający pod śledztwem, wszyscy w masie ogólnej stanowią dobór osób różnorodnych.

Cela nr. 8 jest znacznie mniejsza od każdej z omówionych. Niema w niej nar, lecz stoi kilka — zdaje się 8 łóżek zajmowanych przez tyłuż więźniów, »czystszych«, z wyboru naczelnika.

Oprócz dwóch okien, analogicznych do tych, jakie widzieliśmy w celach powyżej opisanych, ma ona jeszcze 3 okna w ścianie lewej, sąsiadującej z celą Nr. 10, mianowicie w tej części, która wychodzi na podwórze poza celą Nr. 10, i wreszcie zakratowane otwory bez szyb na korytarz po obu stronach drzwi. Prawa ściana tej celi na całej długości jest wspólna z niezmiernie brudnym wychodkiem wązkim a długim, symetrycznym pod względem położenia i okresu do lewej połowy celi Nr. 11.

Cela ta jest upośledzoną w porównaniu z innymi pod względem światła, powietrza i spokoju,

których brak wynika z wielkiego nagromadzenia ludzi.

Wobec dwóch dużych otworów w celi Nr. 11 na korytarz i zawsze otwartych drzwi do wychodka, powietrze w celi Nr 11 jest prawie takie same, jak w wychodku.

Nary w celi Nr 11 obliczone są na 70 do 75 osób, tymczasem stale przebywa w celi około 150, a w czasie »tłoku« przeszło dwieście osób. Jak wygląda taki tłok — nie mam pojęcia. Wiem tylko, że gdym przesiedział (nie mając gdzie i naczem się położyć) noc w Nr 11, towarzysze pocieszali mnie, mówiąc: »Dobrze, że trafiliście, kiedy niema »narodu«, bo jak jest ciasno, to daleko gorzej«.

Wobec takich warunków szczególnie oburzającym jest zachowywanie celi Nr. 21, na drugim piętrze, takiej samej jak Nr. 11 i położonej nad Nrem 11, dla garstki uprzywilejowanych. W celi tej, przeznaczonej na 70 przypośćmy osób, przebywa 12—15 osób, odsiadujących przeważnie krótkie wyroki administracyjne — jedno-, dwu-, trzytygodniowe. Osoby te umieszczane są w celi Nr. 21 przez naczelnika.

Na parterze, oprócz kancelaryi, mieści się oddział żeński z pięcioma, jak należy się domyślać z numeracyi, celami, z których jedna jest taka, jak Nr. 11 i 12.

Życie dzienne w ratuszu jest wielce osłodzone tem, że cele są otwarte, wobec czego połowa więźniów we dnie (od godziny 8 do 3—5) przebywa na korytarzu, po którym możnaby wygodnie spacerować, gdyby nie ścisk, wymagający ciągłego wzajemnego mijania się przy chodzeniu.

Jedzenie w ratuszu jest zupełnie niemożli-

we. Niczego, prócz wody gorącej, wydawanej trzy razy dziennie, używać nie można. Kto nie ma jednak herbaty, nie może korzystać z tej wody. Wreszcie nie dają tam przy jedzeniu żadnych naczyń, prócz misek. W miskach tych zaparza się też herbatę i z nich się ją pije bez łyżek, tak samo, jak bez łyżek spożywa się obiad.

Wielkiem znów zatruciem pobytu w ratu-szu jest okoliczność trzymania tam waryatów i ślepych, na których nędzę i męki patrzeć nieraz nie można.

Drugim zatruciem są badania, prowadzone przez Iwanowa i Konstantynowa, z biciem po twarzy i nie po twarzy, o czym niewyczerpującą wzmiankę znajdujemy w numerze 80 »Robotnika«. Iwanow i Konstantynow znęcają się w sposób niezwykle wyrefinowany, zmuszając np. bitego do liczenia uderzeń w twarz i uprzedzając go, że będzie liczył np. do 15, 20, 25, przyczem za raz każą liczyć dwa uderzenia: w prawy i lewy policzek, jedną i drugą ręką. Kopanie obcasami leżącego jest też praktykowane. W nocy znów słysząc czasem krzyki badanych w t. zw. 6 wydziale, gdzie w pokoju do badań trzymają delikwentów nieraz po tygodniu, we dnie i w nocy, bez spania, w pozycji leżącej, pod ciągłym dozorem szpiclów i żołnierzy.

Do wszystkiego, com opowiedział, w zupełności pasuje gruby, bezwąsy naczelnik omawianego więzienia, Kurakin. Jest to zupełnie nie człowiek, a jednocześnie nie — Iwanow i nie Konstantynow, lecz istota zupełnie bez temperamentu, bez nerwów, tak, iż na zimno, a nieraz nawet na słodko, robi rzeczy oburzające. Nigdy niczego nie odma-

wia, wszystko obiecuje, ale niczego nie dotrzymuje, a zawsze, gdy mu potrzeba, łąze, nie dbając o pozory prawdy. Tak np. przy wysyłaniu więźniów nie oddaje im zatrzymanych rzeczy i pieniędzy. Na domaganie się tych rzeczy odpowiada, że nie może tego zrobić, bo nie ma czasu w danej chwili — karetka odjeżdża; a zawczasu nie oddał, bo został zaskoczony zniemacka rozkazem wysłania danego więźnia lub całej partii więźniów. Ma zawsze papier i ołówek w ręku i z chęcią zapisuje żądanie przysłania rzeczy do miejsca nowego pobytu więźnia, ale nigdy tego nie robi. O wysyłaniu nigdy nie uprzedza. Nawet, gdy bierze partycę wieczorem do wyprowadzenia w nocy i po spisaniu nazwisk na część nocy pakuje do piwnicy, to mówi, że przynosi tylko na jedną noc dla zrobienia miejsca nowym i życzy dobrej nocy, o 1-ej, 2-ej w nocy budzi i wysyła. W sposobie wysyłania jest niemniej nieludzkim. Tak np. wsadzono mnie do karety, w której siedziały dwie kobiety z dziećmi przy piersi i jedna leżała na podłodze na sienniku, bo była tak chora, że nie można jej było posadzić. Była to starszka wzięta za żebranię, prawie goła i bosa, a noc była mroźna. Dwie siedzące kobiety mówiły mi, że ta trzecia nie może się ruszyć, że wychodzą z niej wnętrzości, że robi pod siebie, co wyraźnie dało się czuć przez zapach. Same one również były ubrane w kaftaniki, bo chustkami poobwijały dzieci i siedziały z powyjmowanymi piersiami. Wszystkie trzy były wyprawione z ratusza do Serbii, do lazaretu. Otóż zamiast wysłać te trzy kobiety wprost i same, wożono je przez trzy godziny, przewożąc innych. Kazano

nam włązić do karety przez nie, przyczem trzeba było pociemku stąpać odrazu nogami na ławki, żeby nie zdeptać leżącej, której wcale nie było widać. Zajeżdżano do cytadeli i do kilku cyrkułów zanim ostatecznie odwieziono je do Serbii, skąd już z nami — pasażerami zebranymi po drodze, pojechano z powrotem do ratusza.

Inny znam jeszcze fakt, niemniej krzyżący. Więzień administracyjny, skazany przez oberpolicmajstra na parę tygodni aresztu, odsiedział karę w 11 numerze. Przed samem wyjściem nawymyślał Kurakinowi. Kurakin z najzimniejszą krwią odesłał go za to do fortu, gdzie, o ile wiem, przebył przeszło 10 tygodni, a może przebywa i dotychczas.

II.

O wyprawianiu partyi do cytadeli nie uprzedzają w ratuszu, jak mówiłem, do ostatniej chwili. Wszelako wieści o tem, że partya ma wyruszyć, krążą pomiędzy więźniami zawczasu po części dlatego, że każdy tego losu oczekuje, po części wskutek tego, że ten i ów widział w kancelaryi sporządzane listy. Wiadomości te wywołują sensację, raz dlatego, że każdy rad wyrwać się z otaczającej go ciasnoty, powtóre dlatego, że nasuwają się pytania, jak pochód się odbędzie, jaka będzie prowadziła kordegarda, a właściwie, czy będą prowadzić wołyńcy?

O wołyńcach i ich sposobie prowadzenia słyszeliśmy wszyscy, siedzący i niesiedzący. Wiadomo wszystkim, że wiele razy pobili oni prowadzonych tak, że kilku lub kilkunastu po

przybyciu partyi na miejsce musiano wziąć odrazu do lazaretu. Na ten też temat po wywołaniu partyi do kancelaryi rozpoczyna się rozmowa z Kurakinem.

— Nie bójcie się panowie — odpowiada naczelnik. — Rzeczywiście raz trochę pobili wołyńcy prowadzonych, bo w drodze jeden im na skrócie ulicy uciekł. Sami więc byli sobie winni. Od was zależy, żeby tego nie było. Zresztą dla uniknięcia takich komplikacyj, które nie powinny mieć miejsca, będzie dziś pochód prowadził oficer.

Nie dają te słowa dostatecznej pociechy, ale nie poradzić nie można.

Na podwórzu przed więzieniem odbywa się ustawianie partyi.

Podoficer krzyczy:

— Paszoł, zachodi, stoj, nie szewielis'...

Wtórują mu inni żołnierze, ustawieni w dwa szeregi po obu stronach partyi.

Każdego przytem dotykają rękami, popychają, lub, uchwyciwszy ręką za kark lub za rękaw, formalnie taczają na prawo i na lewo, w tył i naprzód, jak lalkę bezwładną.

Kazą się ustawiać w szeregi po pięciu i trzymać za ręce. Szeregi stawiają luźno, tak, żeby pomiędzy każdymi dwoma szeregami przejść można było swobodnie. Wymagają bardzo dokładnego stawania »w zatyłok« poprzedniego szeregu i w jednej linii swego. Niepospieszne wykonanie jakiegoś posunięcia się, wskazywanego popchnięciem, wywołuje krzyk, jak... na podwórzu i szturchnięcie, lub przynajmniej gotowość palnięcia. Ludzie tracą przytem wszelaką sprężystość. Poruszają się jak automaty i stoją, raz postawieni, bez ruchu. Nie oglądają się za

siebie i patrzą tylko »w zatyłok« swego poprzednika.

Ustawianie to jakichś 200 przeszło ludzi trwa długo. Po ustawieniu wreszcie liczą szeregi bez końca, przyczem liczący podoficer czy oficer, kładzie rękę na ramieniu lub karku pierwszego w każdym szeregu, mierzy wzrokiem, czy szereg stoi prosto i od czasu do czasu każe się równać. Każdy szereg ma swoich dwóch wołyńców po jednej i drugiej stronie.

Wreszcie kończy się wielokrotne liczenie. Następuje komenda: »Na pleczo!« Żołnierze biorą karabiny na ramiona i stają w równej linii z odpowiednimi szeregami.

Następuje przemowa oficera, mającego być prezerwatywą od bicia:

— Arestowannyje, słuszaj! Jeżeli będziesz szedł jak człowiek, nikt ciebie palcem nie trąci, a jak będziesz błaznował (duraka łamat') — ze mną żartów niema (szutki płachi)... Poniał?

— Poniał! — odpowiada mu niepotrzebnie, część głosów.

Przemowa ta, aczkolwiek wielce nieprzyjemna, dodaje jednak nieco otuchy... podłej, niewolniczej.

— Zapewne nie będą dziś bić, niech tam już gadają, co chcą... Czort ich trącał!...

Wreszcie następuje komenda: »Szagom marsz!« Ruszamy.

Ruszyliśmy w porządku. Skręciliśmy na lewo, przeszliśmy szczęśliwie przez bramę na pierwsze podwórko ratusza; gdzieniegdzie tylko dało się słyszeć: »Nie atstawaj!« żołnierza, pilnującego swego szeregu; brama na Senatorską się otworzyła. Wtem rozlega się

znów komenda: »Stój!« Stajemy. Stoimy, brama się zamyka... To oficer, prowadzący pochód, zobaczył drugiego, który wyszedł z sieni głównej do biur ratuszowych. Zatrzymali się, żeby z sobą porozmawiać. Zapalają papierosy, rozmawiają, a my stoimy, nie śmiejąc się ruszyć.

Wreszcie oficerowie wypalają papierosy, zadawalają swoją gadatliwość, ściskają sobie ręce. Doczekujemy się komendy: »Marsz!« Brama się otwiera, wychodzimy na Senatorską.

Przeszliśmy całą drogę przez Senatorską, Miodową, Długą, Freta, Zakroczyńską do wrót i za wrota forteczne szczęśliwie. Nie bito. Od czasu do czasu tylko tu i ówdzie słychać było: »Nie atstawaj! rawniajsia!« Szliśmy ogromnie prędko, wielkimi krokami. Po przejściu wrót fortecznych, które się za nami zamknęły, znowu komenda: »Stój!«

Stanęliśmy. Żołnierze odrazu zaczęli się trzymać »wolno«, nie stali na swych pozycjach, jak przy postoju w ratuszu, lecz zaczęli chodzić, rozmawiać, pozapalali papierosy.

I w naszych szeregach na chwilę zniknęło, albo raczej chciało zniknąć »wyprostowanie«, jakie zachowywaliśmy przez całą drogę. Na duszy chciało się zrobić lżej: nie bili! Lecz wszystko to tylko »chciało« być. Rozległo się zaraz wszędzie:

— Stój! nie szewieliś! nie razgawariwaj! nie kuri!

Po tem i wśród tych strofowań zadawano rzadka pytania:

— Ty za co wpadłeś?

Następowała jakaś odpowiedź zapytanego.

— Wriosz — następowało po tej odpowiedzi ze strony żołnierza.

Staliśmy z godzinę. Żołnierze zaczęli się niecierpliwie.

— Czto ani, padochli tam w sztabie?!

— Czort ich znajet, padochli dołżno byt'.

— Czaj nie prijdut siewodnia. Aaa...

— Isz ty tam, to... owo... Ha, ha, ha!

I jednocześnie wciąż:

— Nie rozgawariwaj! nie szewielis! ja tiebia!... twaju mat!...

Staliśmy przez cały czas bez ruchu. Nareszcie po godzinie stania rozległa się znowu komenda: »Na pleczo! Marsz!« i ruszyliśmy w dalszą drogę. Oczekiwaliśmy już tylko pędzania słowami: »Nie atstawaj!« — gdy wtem w masie głów przed sobą spostrzegłem jedną pędzącą po linii prostej pomiędzy innymi głowami. Nie zdążyłem zdać sobie sprawy z tego widoku, gdy z drugiej strony, nieco bliżej, zobaczyłem już plecy wraz z głową, pchnięte naprzód uderzeniem żołnierskiego kułaka. Kułaki zaczęły się sypać ze wszystkich stron. Zrobiło się z tego powodu zamieszanie w naszych szeregach, ale nie puszczaaliśmy rąk, za które trzymaliśmy się przez cały czas marszu. Zbiliśmy się tylko ciaśniej, deptaliśmy sobie po nogach, potykaliśmy się co krok o nierówności bruku, gubiliśmy kalosze, gdzieniegdzie kapelusze; pędziliśmy już jak stłoczone stado owiec, nie mieszając się jednak z powodu trzymania się za ręce.

W pewnej chwili spostrzegłem po obu stronach swojej głowy czyjeś ramiona, jak gdyby raptem wyłonię z ciemności. Przez moment nie mogłem sobie zdać sprawy z tego, gdzie jestem i dopiero stopniowo zrozumiałem

łem, że dostałem kułakiem w szyję, od czego głowa moja wpadła pomiędzy idących przedemną i pociemniało mi w oczach od wstrząśnienia mózgu. Bólu żadnego w szyi nie czułem, być może dzięki temu, że dostałem uderzenie przez kołnierz. W następstwie zostałem jeszcze raz uderzony w plecy. Tym razem ból poczułem.

Najgorzej było przechodzić przez bramy, w których było zupełnie ciemno i w których były powystawiane jakieś przedmioty (beczki, szafliki), o które nasz pochód zawadzał. Żołnierze również potykali się o te przedmioty i wciskali się między nasze szeregi i tu, dla przywrócenia porządku zapewne, rozdawali kułaki energiczniej. W takiej chwili jeden z nas przewrócił się. Posypały się na niego razy, tak, że najbliżsi towarzysze musieli go podnieść. Nie wywołało to zatrzymania pochodu, ani ogólniejszego zamieszania, tak, że z wyjątkiem bliżej znajdujących się towarzyszy, nikt o tem nie wiedział. Wogóle jedynym hałasem był hałas chodu i uderzeń. Głosu nikt nie wydał.

Wreszcie przed szeregiem niskich oświetlonych okien zakomenderowano: »Stój!« Stanęliśmy, każdy jak wryty. Zapanował zupełny spokój. Jeżeli kto coś słyszał, to tylko bicie własnego serca. Po chwili rozpoczęto wywoływać nazwiska i wywołanych wpychać w niskie drzwi, które się znalazły z boku u początku naszego pochodu. Nazwiska wywoływano najprzód jednym nieprawdopodobnie przeraźliwym głosem, i zaraz każde nazwisko powtarzało kilka również przeraźliwych głosów. W tym krzyku trudno było nazwiska rozumieć, tem bardziej, że przekręcano je.

Przytem staliśmy tylko mniej więcej podług listy: początek listy odpowiadał początkowi pochodu, a koniec końcowi, ale osoby kolejne na liście były rozrzucone po bliskich szeregach. Odzywano się więc w różnych miejscach, a przytem nie zaraz, lub znowu odzywało się odrazu kilku.

Żołnierze zaraz chwyłali tego, kto się odezwał lub poruszył i popychali kułakami ku drzwiom. U drzwi zaś dwaj żołnierze kolbami »podawali« wywołanego w drzwi, a gdy było paru, to robił się przed drzwiami jeszcze większy wrzask i w sposób jeszcze energiczniejszy odpędzano tych, co się odezwali niepotrzebnie. Za drzwiami oficer zapytywał o imię wywołanego takim przeraźliwym głosem, że było słycać na dworze. Zapytywany wskutek oszołomienia nie odpowiadał odrazu, skutkiem czego wyraz »imia!« panował nad krzykiem naprzemian z wykrzykiwanemi nazwiskami.

Tymczasem w dalszych szeregach panował zupełny spokój. Ludzie tam stali, nie ruszając się z miejsca, tylko od czasu do czasu żołnierze puszczali w ruch swoje kułaki, jak gdyby znudzeni próżnowaniem. Żołnierz, stojący obok mnie — stałem z brzegu — podszedłszy krok naprzód, uderzył ni stąd ni zowąd w twarz stojącego przedemną towarzysza. Uderzony drgnął tylko jak koń, lejcami poderwany i nie ruszył się z miejsca. Gdy wywołano z przodu tyłu, że przed drzwiami zrobiło się pewne puste miejsce, komenderowano nam: »Naprzód!« i posuwaliśmy się, dopóki nas znów nie zatrzymano.

Przed wejściem do następnego fortu już nie wywoływano nas, tylko wpuszczano przez

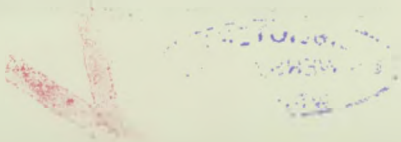
drzwi po jednym po kolei, przyczem dwaj żołnierze u drzwi wpychali każdego wcho-
dzącego kolbami. I znowu, gdy się otworzyło
wolne miejsce przed drzwiami, poruszano całą
masę naprzód zapomocą komendy. W kory-
tarzu fortu również tych, co weszli wpierw,
posuwano zapomocą komendy dalej. Bez ko-
mendy nikt się z miejsca nie ruszał.

W ten sposób znaleźliśmy się wszyscy
w korytarzu fortu ustawieni wężem na całej
długości. Przed sobą na całej długości mie-
liśmy sztachety, zamykające oddzielne kaza-
maty, a za sztachetami stłoczonych, poprzy-
lepianych niemal do nich towarzyszków, da-
wniej osadzonych. Przykry niezmiernie był
widok tych ludzi w brudnych bieliznach, za-
mkniętych jak w jakimś zwierzyńcu w kla-
tkach. Ludzie ci mówili do nas z za kraty:

— Towarzysze, nie bójcie się, tu już was
bić nie będą!

Z trudnością i powoli oryentowaliśmy się
w tych nowych wrażeniach po doznaniem
oszołomieniu. Kordegardy, która nas przypro-
wadziła, nie było. Byli żołnierze inni, z kor-
degardy miejscowej. Ci, widocznie współczu-
jąc naszemu stanowi, w przeciwieństwie do
tamtych byli bardzo grzeczni, mówili do nas
spokojnie, tonem dobrotliwym, niemal z oba-
wą. W tej zmianie zorientować mi się było
najtrudniej.

Oficera, który prowadził pochód, również
nie było. Zamiast niego był człowiek z czer-
wonym lampasem na czapce, z listą w rękę,
otrzymaną od oficera, miejscowy gospodarz
Piński (nie Kiński, jak mylnie podano w nu-
merze 80 »Robotnika«).



On z listy począł wywoływać nazwiska i pytać każdego o imię.

Wreszcie przerwano wywoływanie. Pozostałych miano prowadzić dalej do innego fortu. Pierwsze szeregi pozostałych były zdekompletowane. Ustawiano je więc nanowo, a ponieważ wypadł ułamek szeregu, więc dla dokompletowania przesuвано z jednego boku we wszystkich szeregach po dwóch ludzi o jeden szereg naprzód, przestawiając wszystkich rękami.

Gdy ukończono ustawianie, oficer zakomenderował znów liczenie słowami:

— A teraz policzymy je, kurczątka! (A tiepier' pasentajem ich, cypliat to!).

Żołnierze odpowiedzieli mu śmiechem. I policzono nas.

Ruszyliśmy dalej tak samo, jak poprzednio, zbici w masę, trzymając się za ręce, potykając się o kamienie i deptając sobie po nogach. Głowy nasze znów zaczęły pod uderzeniami kułaków przelatywać pomiędzy innymi głowami po liniach prostych jak gwiazdy, spadające pomiędzy gwiazdami stałymi na spokojnem, nieruchomem i cichem jak grób niebie: pomiędzy głowami naszemi taka sama panowała cisza i spokój. Nikt nie reagował na uderzenia innego, a na uderzenie siebie tylko jak bezwładna bryła.

Stojący obok mnie żołnierz (stałem z brzegu po stronie prawej) posunął się o krok, pochylił i uderzył prawą ręką w twarz stojącego przedemną brzegowego z poprzedniego szeregu.

Uderzony drgnął tylko, jak koń lejcem szarpięty i pozostał w spokoju, a żołnierz cofnął się nazad. Byłem w takim stanie, że



zajście to nie wywarło na mnie już żadnego wrażenia.

— Niech się dzieje, co chce — nie pomyślałem, lecz poczułem.

Wreszcie skończyło się wywoływanie nazwisk. Znalazłem się w jakimś piątym czy szóstym szeregu pozostałych, ale szeregi przedemną były niepełne. Poczęto więc nanowo je formować, oczywiście z krzykami i biciem, wszyscy dawali się przesuwac z zupełną rezygnacją. Mnie nie ruszano, bo po sformowaniu pierwszych szeregów przesuвано następnie o szereg naprzód po dwóch z przeciwniejszej odemnie lewej strony. Gdy skończono tę robotę, odezwał się oficer:

— A tiepier' dawajcie szcitat' ich cypliat to! (A teraz policzymy je, kurczątko!).

— Ha, ha, ha, ha... — odpowiedzieli mu zewsząd żołnierze.

Znów policzono nas i zakomenderowano: »Naprzód!« Znów ruszyliśmy wśród bicia, jak stado owiec, depcząc sobie wzajemnie po nogach, do następnego fortu.

Przed fortem zatrzymano nas, lecz już nie wywoływano z nazwisk, a wpuszczano do fortu przed drzwi po kolei. Gdy wskutek wybrania pierwszych szeregów pozostali znajdowali się za daleko od drzwi, komenderowano: »Naprzód!« i »Stój!« — gdyż sami bez komendy nie posuwaliśmy w miarę.

Z drugiej strony wpuszczonych trzeba było coraz dalej posuwać w głąb korytarza fortu, gdyż nie posuwali się sami, bojąc się ruszyć. Przy przechodzeniu przez drzwi każdy był wpychany dwiema kolbami przez dwóch żołnierzy, którzy się ustawili po obu stronach

drzwi. Siedzący w kazamatach zaczęli do nas przemawiać uspokajająco:

— Nie bójcie się, tu was już nikt bić nie będzie.

Przy przepuszczaniu przez drzwi policzono nas znowu. Po przepuszczeniu wszystkich kordegarda, która nas przeprowadziła, znikła. Pozostała na miejscu kordegarda miejscowa i »zawiedujuszczij« Piński z listą w ręku, otrzymaną od oficera. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tej zmiany żołnierzy na nowych, którzy zachowywali się bardzo przyzwoicie i zwracali się do nas niemal uprzedzająco. Dziwił mnie również fakt przemawiania siedzących towarzyszków. Listę czytał Piński, wymawiając przy każdym nazwisku złowrogie »imia«? — a żołnierze wywoływane grupy zamykali do coraz to innej kazamaty.

Z tego pochodu nikogo nie odesłano do lazaretu. Jednego tylko trzeba było do kazamaty pod ręce wprowadzić.

Wywołanych po kilku czy kilkunastu zamykano w kazamatach po kolei. Ale już to odbywało się spokojnie, bez popychania i wrzasków.

Raz tylko była maleńka przerwa przy jednym, który się nie odezwał. Był to ów pobity, leżał na ziemi i nie poruszał się. Podnieśli go towarzysze i pod ręce zaprowadzili do kazamaty.

Miejscowi więźniowie zwrócili uwagę Pińskiemu, że trzebaby go do lazaretu odesłać.

Piński popatrzył i odpowiedział:

— Chyba do rana nie umrze!... (A czoż, nie pamriot że do utra) — i przeszedł dalej czytać listę.

III.

Pierwsze wrażenie kazamat jest przykre. W długim, sklepionym, arkadowym, białym korytarzu ma się po jednej stronie szereg niskich okien, z drugiej pewną liczbę sztachetowych przepierzeń z prostego drzewa i tuż poza nimi całe tło niemal pozawieszanych na nich ludzi w brudnych bieliznach. Uderza też zapach nieświeżej słomy, podobny do tego, jaki wychodzi z chlewów. Zdaje się, że nagromadzenie ludzi jest takie, jak w ratuszu, a liczba niewygód większa: brak światła, odcięcie od świata, a jednocześnie zupełne i nieprzerwane odsłonięcie dla oczu pilnujących i niepomierne tych oczu obfitość. Po wejściu wszakże do kazamaty przez drzwi sztachetowe w rzeczonyj sztachetowej ścianie doznaje się przyjemnej niespodzianki, że nora jest znacznie większą, niż się zdawało i tłok w porównaniu z ratuszem wcale nieznaczny: ludzie, których natłoczenie się przy kracie uderzało przy patrzeniu się z zewnątrz, jakoś rozpraszają się wewnątrz; dla wszystkich na norach jest miejsce i przytem tyle jest tego miejsca, że można leżeć na wznak i przewracać się z boku na bok. Razi tylko brud tem, że jest odmienny od ratuszowego; do słomy, na której trzeba się położyć, ma się wstręt pewien i silną obawę owadów, ale to tylko w pierwszej chwili. Jeżeli zapali się świecę, miejsce, które się ma zająć, bieleje; towarzysze, z którymi zaczyna się rozmawiać, tracą przykry wygląd ostatniej nędzy, jaki im nadaje natłoczenie przy kracie, a nabie-

rają wyglądu normalnego. Przybysz dowiadyje się od nich, że najgorsze przejście do kazamat już się skończyło, że żołnierze wartujący nie są wcale tacy źli, że wogóle nie jest tak źle, jak w ratuszu, że jest pewna wolność i swego rodzaju przyjemność i rozrywki, a wreszcie ktoś lub paru z towarzyszków ujawnia większą troskliwość około urządzenia spania, służenia swoją bielizną — w rezultacie tego wszystkiego odczuwa się pewną jakąś słodycz i strudzone członki wyciąga się na słomie z błogością.

Budynek kazamat jest to szereg prostoliniowy lub wygięty wkoło obszernych izb mурowanych, sklepionych, połączonych dwoma szeregami framug, wybitych w ścianach. Z nich jeden szereg framug po stronie okien budynku pozostawiony jest przed improwizowanymi kratami i tworzy korytarz, którego jedną ścianę tworzą właśnie owe kraty, w drugim zaś szeregu framugi są pozabijane deskami. Wewnątrz poza kratami niema już okien nigdzie; dach i przeciwległa ściana zasypane są z zewnątrz ziemią, porośłą trawą i zarysowują się z zewnątrz jako pagórek. Stąd pochodzi, że w kazamacie jest ciemno i wilgotno.

Cementowa podłoga dopełnia obrazu jakiegoś klasztornego sklepienia, bardzo mało nadającego się na mieszkanie. Nary ustawione są pod ścianami, tak, iż do chodzenia pozostaje środek.

Liczba więźniów, trzymanyh w jednej kazamacie, zazwyczaj jest mniejsza od 30, a spada chwilami do jakichś 15 nawet. 30 jest to liczba, przy której kazamata uważana jest za zapełnioną; do tej liczby więc dopro-

wadzają zazwyczaj ilość więźniów przez odpływ — iakkolwiek niekiedy ją przekraczają — ale przez odpływ codzienny zwykły, a niekiedy masowy, przez wywóz do innych fortec, liczba więźniów spada dość prędko. Odpływ więźniów z oddzielnych kazamat jest przypadkowy, a więc nierówny. Wprawdzie straż przy wielkich nierównościach stara się liczbę więźniów oddzielnych kazamat od czasu do czasu zrównać, lecz robi się to rzadko i niezupełnie, gdyż ludzie przyzwyczajają się do towarzystwa i nie chcą się przenosić. Niekiedy też odbywają się przenosiny z jednej kazamaty do drugiej, zapoczątkowane przez więźniów dla zadowolenia sympatj osobistych; te przenosiny odbywają się nieraz w kierunku zwiększenia nierówności.

Przymus przenosin pierwszych i łatwość drugich zależy od charakteru stojącej warty. Niektóre kordegardy, a właściwie ich naczelnicy nie mogą zrozumieć, że ludzie, siedząc, wiążą się w towarzystwa i wtedy trzeba wielkiego oporu, żeby się nie dać przerzucać z kazamaty do kazamaty; inne znów kordegardy odczuwają towarzyskość życia w zupełności i wszelkie żądania przenosin skutecznieją bez najmniejszego oporu — przeciwnie: z zupełną gotowością. W zależności od tego, jacy są ludzie w kordegardzie, dzień przechodzi bardzo ciężko lub względnie przyjemnie. Słyszy się nieraz od żołnierzy twierdzenie:

— I wy i my jesteśmy ludzie.

I istotnie wyczuwa się wtedy, że to jest prawda, tylko przemoc zewnętrzna, tajemnicza jakaś, niepojęta stara się tę prawdę obalić i obala ją nieraz, a zawsze ignoruje i usu-

wa w zakresie przymusowego obu stron stosunku.

Najsmutniejszą zasłużył sobie chwałę osławiony pułk wołyński, a w nim piąta rota — jak twierdzą sami żołnierze innych rot tegoż pułku. Tu zaraz zaznaczyć muszę z naciskiem, że chwała tego pułku nie do wszystkich jego przedstawicieli odnoszona być winna, gdyż mieliśmy kordegardy wołyńskie przyzwoite, tak przyzwoite, że pominięcie tego zastrzeżenia byłoby niegodnie wyrządzoną im krzywdą. Dalej odznaczył się u nas smutnie grochowski pułk piechoty, który zresztą rzadko był reprezentowany u nas, tak, iż od uogólniania tego, mając przykład wołyńców, muszę się powstrzymać. Różnica też wyraźna daje się widzieć pomiędzy gwardyą a armią. Gwardya jest inteligentniejsza, więcej wyrobiona i dlatego charakter jej przedstawicieli taki czy owaki, jest wyraźniejszy i czystszy. Chociaż więc dowody dobrej woli dały nam kordegardy niektórych pułków armii, to jednak najwyżej należy postawić przyzwoite pułki gwardyi, a może tylko niektóre rotacje tych pułków, gdyż sądzę, że należy się wystrzegać uogólnień, które mogą być fałszywymi, a poznać całości jakiegokolwiek części konsystującego u nas wojska nie było okazji.

Po podanym wyżej opisie zachowania się wołyńców podczas prowadzenia nas do fortów nie potrzebuję się rozwodzić nad przykładami grubijańskiego i nienawiścią nacechowanego obchodzenia się niektórych kordegard w forcie, polegającymi przedewszystkiem na odzywaniu się, dowodzącem nienawiści i pogardy, a następnie na objawach czynnych (popychaniu, potracaniu, zamierza-

niu się kolbą), dowodzących jednak niekiedy tylko grubijaństwa i dzikości. Tak np. na protest przeciwko potrąceniu dawano odpowiedź:

— Co się obrażasz, rękę ci złamałem, czy co?

Gdym raz spróbował strofować wołyńca za zamierzanie się kolbą na przechodzących bez chęci uderzenia zresztą, a jako objawu wesołości, odpowiedział mi, że przecież nikogo nie uderzył. Gdy powiedziałem mu, że i zamierzanie się jest krzywdzeniem (»abidą«), że można »abidiet« nawet i słowem — wołyńiec zaprotestował:

— Co to za obraza słowem! (»Kahaja tam mozet byt' abida słowom«).

Drugą cechą części tego rodzaju objawów, mianowicie, o ile nie cechowała ich nienawiść ogólna, był antysemityzm. Na strofowania odpowiadano nie-żydom:

— My was nie bijemy, my bijemy tylko żydów, takich owakich, bo od nich wszystko złe pochodzi, i wy, Polacy, nie siedzielibyście tu, gdyby nie żydzi (żidy).

W tym wypadku znać propagandę oficerów, jak również w objawach nienawiści i pogardy wogóle.

Wypadki takiego mniej lub więcej daleko posuniętego znęcania się nad więźniami i wrogięgo do nich nastroju były względnie rzadkie. Kordegard przywoitych, pozwalających się uśmiechać do przyszłości, było znacznie więcej, tak, iż naogół wrażenie o wojsku wyniosłem lepsze, niż mi się zdawało przed aresztowaniem, jakkolwiek jednocześnie przekonałem się, że otwarty bunt i opór wojska jest trudniejszy, niż wyobrażałem sobie. Strasznie wielką, biją co wielką jest nieumieję-

tność, powiedziałbym: niezdolność bezmier-
na żołnierzy do wyłamania się z pod dyscy-
pliny, niewiara w niemożliwość tego.

»Co robić?« — jest najczęstszem, niemal
rozpaczliwem pytaniem. Poza tem mocno
siedzi klin przysięgi, jako czegoś nieprzekra-
czalnego. Nie wysoko rozwiniętą oczywiście,
ale głęboką — w czuciowem, a nie argumen-
towem rozumieniu — jest tylko krytyka rzą-
du i bezpośredniej zwierzchności, przeświad-
czenie o ich niegodziwości, samolubstwie, oboję-
tności względem ludu — ale ta strona, ta
połowa uświadomienia, destrukcyjnego wzglę-
dem rządu postępu w szeregach armii jest
dokonana w stopniu poważnym, oczywiście —
przez życie.

I zadziwiającym w omawianych sympaty-
cznych przykładach jest zupełny brak niena-
wiści rasowej względem Polaków i żydów —
poza teoretyczną, powierzchowną względem
żydów, nadaną.

Z przyjemnością patrzałem, jak ciekawie
i chętnie żołnierze rozmawiali z żydami,
nie umiejącymi prawie mówić po rosyjsku, tak,
że nie można ich było zrozumieć, jak z uśmie-
chem starali się zrozumieć, domyślić się, co
oni mówią, wnikać w to i rozważyć.

Słyszałem od żołnierzy zdania: »My i wy —
brat'ja«. — »My lud roboczy jesteście tak
samo jak i wy«. — »My tylko skórę z siebie
zdejmujemy, szynel, i staniemy się wami«. —
»U nas tak samo gnębią naszych braci, jak
tu was«. — »My zrzucimy tylko szynel i do-
staniemy się do kozy, do was«. — »Nas szy-
nel nie ochrania, nas pełno w więzieniach,
nas za byle co do więzień pakują«. — »My
też się znamy na rzeczy, też rozumiemy,

nie głupcy jesteśmy« (»panimajem, nie duraki«). — »Dla nas życie stało się niemożliwym« (»Nam žit' stało nielzia«). — »Ich by pierebit', takich synów« (oficerów).

Pytałem też parę razy żołnierzy, dlaczego wołyńcy są takie bydlę?

Różnie mi odpowiadano: »Już ludzie tacy«; ale też: »Oficerów mają takich«. — »To oficerowie są winni«.

Przysięga wszakże i car są jednak dla nich łożyszczami.

W kazamatach więźniowie wciąż śpiewają pieśni rewolucyjne. Żołnierze ci w większości wypadków nie przeszkadzają temu, a nawet z przyjemnością słuchają. Proszą o śpiewanie po rosyjsku.

Raz jeden żołnierz powiedział, że u nich inaczej śpiewają.

— Jakże u was śpiewają?

— »Wstań, padymajsia roboczij narod...«

Otóż nieprzyjemnie im, gdy śpiewać co na cara (np. strofka: »Od Urała do Dunaja niet głupieje Nikołaja« itp.). Raz z tego powodu zdarzył się wstrętny wypadek. Wyciągnięto śpiewającego, który sprowokował żołnierzy śpiewaniem takich strofek pomimo ostrzeżeń, żeby przestał i pod bagnetami kazano mu uklęknąć, pocałować podłogę i powiedzieć: »Przysięgam (klianus!), że więcej na cara śpiewać nie będę«. Po dokonaniu tej przysięgi powiedział mu żołnierz:

— Twoje szczęście, że myśmy nie wołyńcy; wołyńcy wyciągnęliby cię na dwór i kilka bagnetów lub kilka kul w ciebie wpakowali. I nicby im nie było, boś cara obraził. Ichby za to pochwalili.

W jakiś czas później miał miejsce tak

sam początek wypadku, z końcem mniej przykrym. Żołnierze zaczęli wołać:

— Dosyć, dosyć, przestań! (Budiet, budiet broś').

A kiedy przestał, zaczęli mu tłumaczyć, że to niedobrze. Przytem jeden wypowiedział się bardzo głupio:

— Myślisz, że gdybyś ty był carem, to byłoby lepiej. Nie byłoby lepiej, bo ty nie dałbyś wszystkim np. po tysiąc rubli, boby ci nie wystarczyło.

A drugi poprawił bardzo rozumnie:

— Nie, widzisz, tylko ty śpiewasz na cara przy nas, a my przecie carowi służymy.

Czuć było w tem domaganie się poszanowania dla siebie.

Dowiedziałem się też niedawno od jednego żołnierza-wołyńca pewnego szczegółu. Oповідаł mi, jak nas wołyńcy prowadzili.

— A, bo nam wtedy kazali bić — powiedział.

Widocznie obecnie rozkaz ten nie jest podtrzymywany.

Jakkolwiek jednak przyzwoitych żołnierzy miewa się daleko częściej, niż dzikie bestye, to jednak ciągle można dostania tych ostatnich pod postacią jakiejś piątej rotę pułku wołyńskiego stale daje się odczuwać. Chwila zmiany kordegardy jest chwilą wyczekiwania. Gdy nowa kordegarda rokuje zachowywanie się przyzwoite, jest to wielka przyjemność. Wtedy następuje też czułe pożegnanie ze starą kordegardą.

— Bratja, praszczajcie, szczerliwie astawat' sia. Niech was jak najprędzej wypuszczą! — mówią żołnierze.

— Praszczajcie, wsiewo wam charoszawo —
odpowiadają więźniowie.

Niektórzy żołnierze wyciągają przez kratę ręce i ściskamy się z nimi. Gdy nowa kordegarda jest znajoma, wtedy następuje także za ręce witanie się.

Więcej jeszcze dolega całkowita zależność od żołnierzy, dlatego, że są oni — a stosuje się to mianowicie do armii — wielkością wielce nieobliczalną. Gdy gwardziści funkaye swoje pełnią z jowiszowym spokojem, to żołnierze z armii przeciwnie, przejmują się, wciąż biegają, spieszą się, krzyczą wzajemnie na siebie, przez co i sami się męczą i obsługują gorzej. Pod wieczór żołnierze ci są tak źli i zmęczeni, że zaczynają popychać, potrącać kolbami, wymyślać. Wywołuje to kłótnię i wzajemną irytację, na której dzień się kończy, choćby stosunek zaczął się jak najlepiej. Najczęściej bywa to wtedy, gdy zdarzy się dużo żołnierzy-Tatarów. Tatarzy nie są źli, ale są strasznie głupi, a żołnierze z armii są wogóle ciemni, tak, że nie można się z nimi dogadać i nigdy nie można wiedzieć, co wymyślą.

Z tego powodu wielu woli wołyńców od głupiej, jak przyjęto nazywać, armii.

W jednym z fortów, mianowicie Aleksego, leżącym poza cytadelą, na placu pomiędzy wylotami ulic Zakroczyńskiej i Bonifraterskiej, warunki zależności od kordegardy są inne o tyle, że do składu tej ostatniej należy oficer. Ta okoliczność sprawia, że kordegarda jest mniej nieobliczalną, mniej należy się obawiać wybryków ze strony żołnierzy, ale za to ma się wybryki oficera — nie zawsze, ale gdy są, to takie, o których warto opowiedzieć.

Najczęściej rola oficera sprowadza się do obecności przy liczeniu więźniów podczas przyjmowania warty, i dlatego obecność jego nie jest szkodliwa, a wybryki żołnierskiej ciemnoty hamuje. Zdarzają się oficerowie przyzwoici, którzy odwiedzają korytarz, ale żadnej przykrości nie czynią, żadnej surowości swoją obecnością nie sprawiają, a gdy się do nich zwracać, odpowiadają na żądanie przychylnie i odraabiają w części przynajmniej szkody, wyrządzone przez ich poprzednika. Ale za to oficerowie gorliwi więcej dają się we znaki, niż najgorsza kordegarda żołnierska. Dlatego też pobyt w forcie Aleksego urozmaicony jest rzeczami, nieznanymi w innych fortach, lub znanymi tylko wyjątkowo, jak np. rewizye i różne najniespodziane zakazy i rozkazy.

Najdelikatniejszą formą objawu gorliwości oficera jest powierzchowna rewizya kazamat przy przyjmowaniu warty. Po wyprowadzeniu więźniów z kazamaty wchodzi do niej podoficer i kilku żołnierzy i w ciągu kilku minut przetrząsają rzeczy, zaglądną pod nary, pod słomę. Więźniowie przyglądają się temu przez kraty, a obaj oficerowie, zdający, i przyjmujący wartę również, lub ten ostatni wchodzi do kazamaty, a pierwszy pozostaje w dosyć głupiej, jak mnie się zdaje, pozycji czekania. Potem przyjmujący oficer przepuszcza więźniów przez furtkę do kazamaty po jednym i liczy, przyczem wstrzymuje się od dotykania każdego ręką, co czyni podoficer. Przyjęcie odbywa się bez żadnej przemowy.

Zdarza się jednak, że przyjmujący oficer odrazu wchodzi w swoje prawa i jeszcze nie przyjąwszy warty w obecności swego poprze-

dnika w sposób brutalny zapowiada jakieś swoje widzimisię — lub oświadczenie, że wymaga bezwarunkowego posłuszeństwa i że za najmniejsze tam cośkolwiek będzie się musiał rozprawić. Jeden oficer pułku wołyńskiego przy wychodzeniu więźniów z kazamaty do liczenia krzyknął:

— Ręce powyjmować z kieszeni!

Inny, tegoż pułku, po wyjściu więźniów z kazamaty zapowiedział:

— Upprzedzam, świec nie palić!

W kazamacie jest ciemno, już o godz. 4 nic nie widać w kątach, a zapalona na korytarzu lampka nie oświetca nawet połowy kazamaty. I oto kilkuset ludzi, z powodu rzućenia tych słów paru, mając świece zupełnie legalnie nawet pozawieszane na ścianach w improwizowanych lichtarzach, pozostaje w ciemności, która przeszkadza zjeść kolację, a tem bardziej zaparzyć i porozlewać herbatę.

Oprócz rewizji przy przyjmowaniu warty, lub zamiast niej oficerowie tacy urządzają czasem rewizye w ciągu dnia, np. podczas przechadzki w pozostałych pustych kazamatach i osobistą na wrywki, na złapanego, lub w jednej jakiejś wybranej kazamacie — wszechstronną. Jeden oficer pułku wołyńskiego wybrał sobie jedną kazamatę i robił w niej rewizję rzeczy i osobistą przez 5 godzin, tak, że aż nawet żołnierze jego się oburzali i o ściśłości dokonywanej rewizji powiadomiali inne kazamaty na migi, pokazując na swojej osobie szczegóły rewizji osobistej, a na otaczającej przestrzeni szczegóły rewizji rzeczy. Inny znów, również wołyniec, kazał żołnierzom strzelać, jeżeli kto zapali papie-

rosa. Żołnierze powiedzieli to nam i dodali:
— My strzelać do was nie będziemy, ale wy palcie tak, żeby nie było widać.

Pociechę w tych wszystkich wypadkach jest to, że takie rzeczy najlepiej uświadamiają żołnierzy, którzy, mówiąc o oficerze, nie zaniedbują takich epitetów, jak: »stierwo«, »sukin syn« itp. Przy wszystkich tego rodzaju operacjach oficer albo wcale się nie odzywa, tylko chodzi jak mruk, wydając rozkazy żołnierzom ruchami palca, albo przemawia tylko do żołnierzy w sposób niezmiernie grzeczny, dodając np. zawsze »pożałujsta«. W każdym razie żołnierze są w naprężeniu niemniejszym od naprężenia więźniów, bo tak samo jak i ci ostatni nie wiedzą, co będzie za chwilę i boją się więcej od więźniów tego, co być może. Raz żołnierze oświadczyli nam:

— Panowie, bądźcie cicho i nic nie róbcie; on swołocz, napitsia, może Bóg wie, co zrobić. A co my możemy zrobić? My za nieposłuszeństwo (asłuszanje) będziemy w każdym razie odpowiadali.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia zwierzenia, jakie mi uczynił żołnierz w chwili takiego rozżalenia na oficera.

— Ja po powrocie do domu będę musiał też zdecydować się (siebia apredielit'), czy mam zginąć za narod, czy za wieru i prawdę.

Co za gorycz w tych słowach, jaka walka dwóch głosów obowiązku i jakie przewrócenie w głowie! A rozvodzić się nad niestuznością przeciwstawienia ludu i prawdy nie można było.

Raz wreszcie oficer z pułku grocholskiego armii wyjął w kazamacie rewolwer i celował z następującego powodu: Przyjmując

wartę, zapowiedział on kazamacie, żeby za pół godziny nie było rysunków na ścianie. Po przyjęciu warty przyszedł do kazamaty i zobaczywszy, że rysunki (niewinne zresztą) pozostały nietknięte, zbladł z gniewu. Założył ręce jedną za drugą na piersiach i mówi drżącym głosem:

— Ja kazałem, żeby tych rysunków nie było!

Nikt nie odpowiada. Wtedy zwrócił się do stojącego najbliżej więźnia i mówi:

— Satritie eto!

Więzień odpowiedział:

— Ja tego nie rysowałem, ja tego ścierać nie będę.

Wtedy oficer zawołał trzech żołnierzy i powiedział do nich zupełnie spokojnie:

— Poproście (*papasritie pażałujsta*) tego pana, żeby stał ten rysunek.

Żołnierze zaczęli wskazanego popychać, potrącać kolbami i ostatecznie wzięwszy go za barki, postawili na nary i przypchnęli do wskazanego rysunku.

Wtedy ktoś inny schwycił pęczek słomy, wskoczył na narę i zaczął ścierać ten rysunek. Wtedy oficer kazał tego pierwszego przyprowadzić do drugiego rysunku. Żołnierze przyciągnęli go, a jeden wetknął mu w rękę pęczek słomy. Prześladowany rzucił słomę na narę, ten, co stał pierwszy rysunek, przyskoczył i zaczął ścierać ów drugi, a trzeci facet, krzyżąc, schwycił się rękami za deskę nary. Oficer myślał, że facet chwyta za deskę na niego, schował się więc za żołnierza i wycelował z rewolweru w krzyżącego. Po chwili, gdy drugi rysunek znikł ze ściany,

oficer z rewolwerem w rękę, a za nim żołnierze wyszli z kazamaty.

Takie to przejścia w zamian za samowolę żołnierzy ma się w stojącym na osobności forcie Aleksego, gdzie naczelnik kordegardy jest jedynym oficerem. Żołnierze w takich wypadkach widocznie sympatyzują z więźniami, co musi wpływać dodatnio na ich wyrobienie. Obecnie wszakże nie są oni jeszcze zdolni do oporu, jakkolwiek w większości wypadków mają przeświadczenie, że są używani do złego. Do czynu, jakim byłby opór, potrzeba przeświadczenia i woli. Tej woli brak, paraliżuje ją tresunek w posłuszeństwie, albo tchórzostwo przed najbliższym niebezpieczeństwem i, jak im się zdaje, najgroźniejszym, jakim jest naczalstwo.

Jedną jeszcze z większych przykrości siedzenia w fortach jest przymusowa obecność przy przyprowadzaniu nowych partyj ze scenami podobnemi do opisanych powyżej. Przerazliwie głośne wywoływanie nazwisk budzi śpiących. W pierwszej chwili nie można się zorientować, co się dzieje, ale przeraźliwe »imia?«, które może się przyśnić, sprowadza oprzytomnienie. Z za kraty widzi się wówczas to, co się poznało na sobie z przed kraty. Przy akompaniamencie krzyków, powtarzanych wielokrotnie przekręconych nazwisk, krzyku, trwającego jakiś czas i przerywanego dla owego pojedynczego »imia?«, przechodzą ludzie pojedynczo, zataczając się nieraz; postaci różne: jedne w odzieży niepotarganej, inne w potarganej, jedne przechodzą prędko, inne wolno, a niektóre z płaczem. I przemawia się do nich przez kratę:

— Towarzysze, nie bójcie się, tu już was bić nie będą.

Na korytarzu stoi wzmocniona warta, niema, nieruchoma. Ze dworu przez uchylone okno patrzą 2—3 głowy żołnierzy, którzy przyprowadzili partyę; rozmawiają oni pociachu z uśmiechami na twarzach, z których widać, że robią złośliwe uwagi. Z za zgiełku słysząc jeszcze głucho uderzenia kolb żołnierzy, stojących przy wejściu.

I patrząc na tę scenę, nie można nic innego zrobić, prócz rzucenia uspokojenia:

— Towarzysze, nie bójcie się, tu już was bić nie będą.

Patrzą też na to i aprobują wywołujący i pytający każdego o imię dwaj oprawcy: oficer, który przyprowadził partyę i »zawiednuszyczij« — Piński.

Piński jest to osobnik najwięcej poza opisanemi rzeczami charakterystyczny dla fortów. Mizerna, drobna jednostka, były kominiarz podobno, w fortach, gdzie gra rolę jakiegoś gospodarza pod zwierzchnią władzą pułkownika Kalendy, rozbija się, robiąc z siebie jakąś karykaturę dygnitarza. Z papierosem w rękę, z miną człowieka zapracowanego, nie oglądając się na kazamaty, biegnie przez korytarz, jak gdyby obecność jego była niezbędnie potrzebna do tego, co warta bez niego już zrobiła — do powpuszczania do kazamat przybyłych, do każdej w pewnej liczbie, jemu właśnie niewiadomej, ażeby je równo zapełnić. Z przybyłymi, jeżeli się na korytarzu z nimi spotyka, obchodzi się brutalnie, zwracając się do nich przez »ty«, z wyjątkiem lepiej ubranych, t. zw. »inteligentów«. Szczególnie brutalnie traktuje Piński żydów,

naśladować w swych przemówieniach do nich wymowę żydowską.

W zwykłym czasie, w dzień, również przebiega on od czasu do czasu korytarz, jak gdyby miał spełnić gdzieś coś nadzwyczaj ważnego, zwracając się po drodze do paru wybranych, mniej odpornych względem niego inteligentów z przywitaniem, z pytaniem: jak się mają, nieraz z dłuższą rozmówką o niczem, odbijając od siebie »w zarodku« wszelkie zwracanie się żydów. Ci ostatni nie mogą poprostu nic powiedzieć, gdyż zanim skończą pierwszy wyraz, już Piński odpowiada im:

— Mojsze, charaszo, charaszo! — i odbiega.

W przeciwieństwie do Pińskiego, Kalenda przedstawia się zupełnie przyzwoicie. Człowiek suchy i widocznie surowy, zajmuje wyraźne stanowisko, wykluczające zarówno słabość jak i nadużycie. Wszelkie wybryki żołnierzy karci, choć co prawda słowem tylko, surowo i stanowczo, że względem więźniów żadnych nadużyć dopuszczać się nie wolno. Zapowiedział, żeby przy każdym nadużyciu ze strony warty wołać go, że każdą skargę rozpatrzy i winnego skarci. Po parokrotnych skargach na bicie więźniów przy przyprowadzaniu do fortu, odpowiedział raz, że sam będzie bywał przy przyjmowaniu więźniów. I istotnie był przy pierwszym wypadku, zobaczył, jak się robi, zwymyślał oficera, zaczął sam wywoływać z listy powoli; przy pytaniu o imię, dodając przy każdym jeszcze jakieś pytanie, np. o czasie aresztowania — czem sprawił taki kontrast z pośpiesznem wywoływaniem przez oficera z ciągiem: »Prędeż tam, prędzej!«, że oficer i Piński stali,

jak na gorących węglach. Żołnierze, niespodziewanie pohamowani w rozmachu, też stali na podwórzu, jak niepyszni i całe przyjęcie odbyło się bez zamieszania i gwałtów.

Wikt w fortach, z wyjątkiem oddzielnych wypadków podania jedzenia stęchłego, lub zupełnie wodnistego, na co zaraz reagowano odmawianiem przyjęcia, naogół jest dobry — tak, że jeść można. Dają rano wodę gorącą i dwa funty chleba czarnego, dobrego, następnie obiad z kaszy, kapusty lub grochówki z mięsem gotowanym codziennie i wreszcie kolację i znowu wodę gorącą. Oczywiście potrzeba do wody gorącej mieć swoją herbatę i cukier.

Dodać muszę, że nary w kazamatach zaprowadzone są niedawno. Przy poprzednim stanie wojennym spano na cementowej podłodze. Nie były też kazamaty poodgradzane jak obecnie, lecz wszyscy więźniowie w całym forcie jedną stanowili całość.

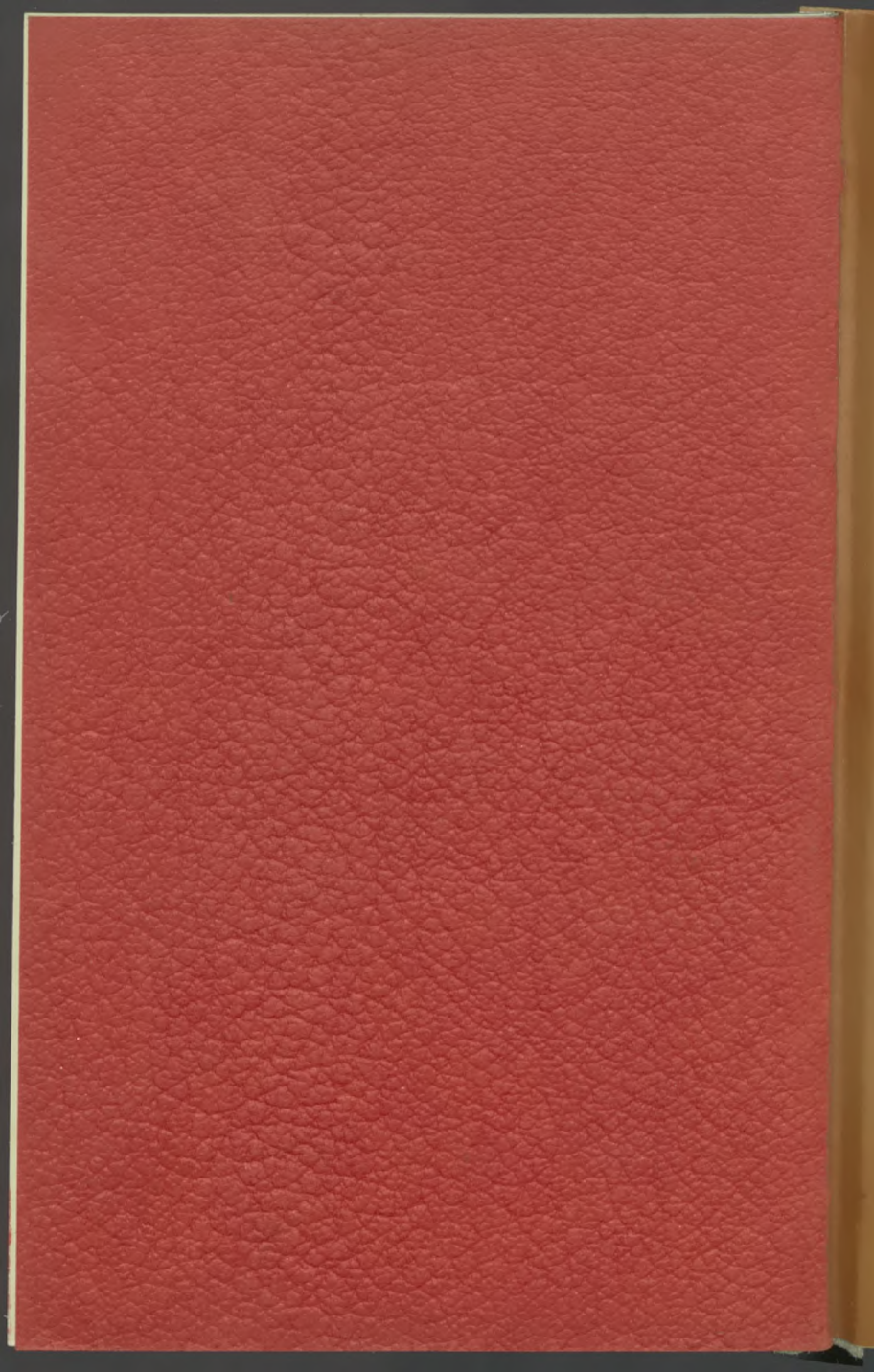
Jeżeli i w tych urządzeniach widzimy postęp, to czegoż on może nie zwyciężyć?

Zwycięstwa jednak postępu są wolne: więźniowie dotychczas nie mogą dopiąć, żeby, siedząc całymi miesiącami, wiedzieć, za co siedzą i jaki los ich czeka.

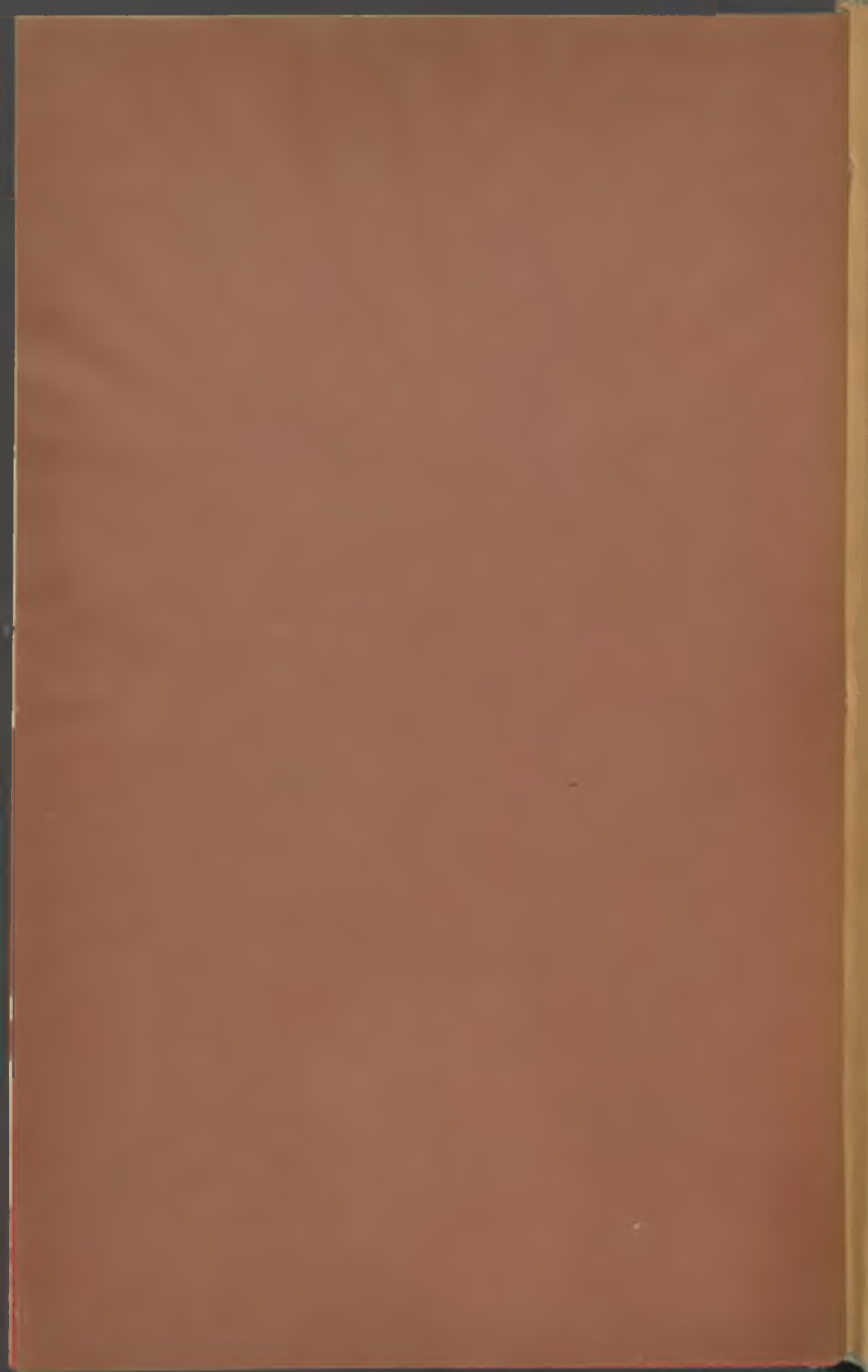
Skarżon wydał podobno rozkaz referowania wyroków i ogłaszania uwięzionym, lecz ci ostatni w większości swej nie mogą się tego doczekać, a w ich liczbie tacy, co siedzą po dziesięć i więcej tygodni. O winie zaś, za którą niby siedzą, nigdy powiadamiani nie są.

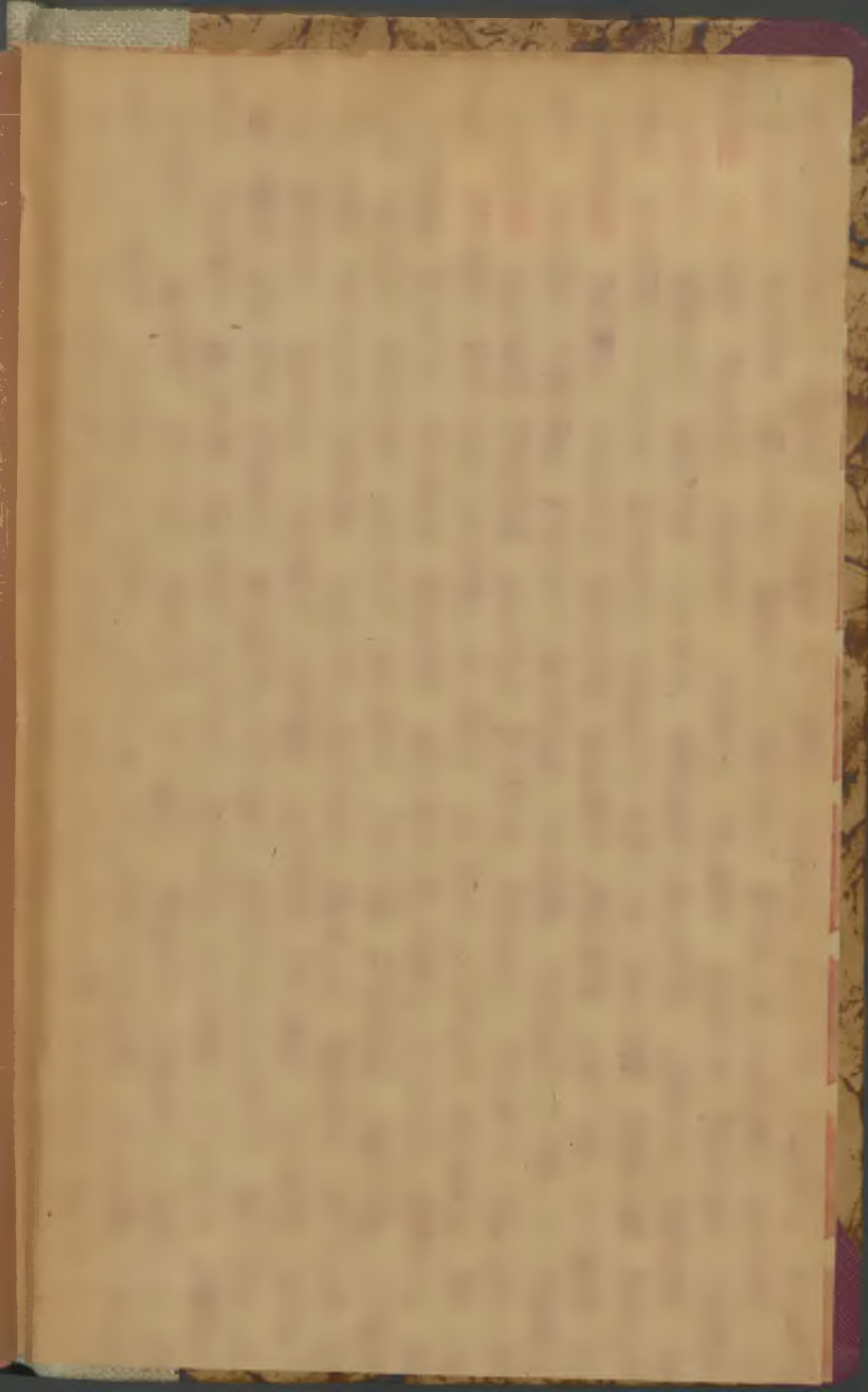












50v
Biblioteka Główna UMK



300049398817



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1263923

Biblioteka Główna UMK



300049398817

070

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1263923



070